OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA GOTÓWKĄ

GAZETKA MIKI

TYGODNIK

ROK I. NR 10
DNIA 19 LUTEGO 1939

CENA 40 GROSZY



ZYGMUNT NOWAKOWSKI

PĘDZIWIATR

Za miedziaka odrąbał kupiec siekierą tyle tych daktyli, że Staszek miał co dźwigać. A jeszcze trzeba kupić takich dziwnych owoców, które przypominają trochę jabłka, inaczej jednak pachną i inaczej smakują. Arab dał mu do spróbowania jeden z tych owoców, Staszek skosztował więc i zaraz kupił dziesięć sztuk. Czy można nie kupić, jeśli to takie tanie i takie dobre! Obładowany jak wielbłąd, podążył dalej, wędrując przez bazary i oglądając rzeczy, jakich jeszcze nigdy w życiu nie widział. Ciekawość Staszka wzbudziły szczególnie ciastka, smażone owoce i makagigi, ociekające lepkim cukrem. Okazały się nadzwyczaj smaczne.



W jakimś kramie kupił sobie piękny, czerwony fez z czarnym kutasikiem, uważając słusznie, że z gołą głową nie może chodzić przy takim strasznym upale. Po godzinnej wędrówce rozumiał już kilka słów, wiedział więc, co znaczy jeden, dwa, trzy, co znaczy »tak« i »nie«. Targował się ciągle na migi, a gdy kupiec jakiś nie chciał ustąpić, Staszek udawał, że odchodzi obojętnie, wtedy zaś sprzedający natychmiast zniżał cenę do połowy i ściągał go z powrotem do sklepu. Chłopiec kupował zatem, co się tylko dało.

Kieszenie już miał pełne przeróżnych rzeczy, w rękach zaś dźwigał tyle, że wszystko leciało na ziemię, powiedział więc sobie, że na razie ma dość. Usiadł pod ogromną bramą w chłodnym cieniu i jeść zaczął, ile tylko wlazło. Pomarańcze, chałwa, daktyle, banany, rodzynki, figi, makagigi, ciastka, potem znowuż na nowo pomarańcze, na nowo chałwa, na nowo daktyle, figi, makagigi... Właściwie od dawna już jeść mu się nie chciało, ale uważał, że nie powinno się nic zmarnować z tego, co kupił. Odetchnął zatem, odsapnął i zabrał się do znowu roboty. Pić mu się chciało okropnie.

Właśnie przechodził nosiwoda, czerwono ubrany, ze złocistym olbrzymim dzbankiem na plecach. Krzyczał jakby się paliło, darł się na całe gardło i dzwonił mosiężnymi kubkami tak zachęcająco, że Staszek postanowił skorzystać. Już, już stał przed nosiwodą, gdy nagle przypomniały mu się słowa listu »jaskółki«. »A proszę nie pić wody nieprzegotowanej!« Jakże jednak pytać tego Araba, czy woda jest przegotowana? Czyżby zresztą mógł sprzedawać złą wodę? Musi być dobra z pewnością!

— Proszę mi dać jeden kubek! — zawołał Staszek po polsku i zdziwił się bardzo, gdy nosiwoda zrozumiał go zaraz.

Ale jeden kubek nie wystarczył, równie jak drugi, Staszek wypił więc trzeci, zapłacił trzy miedziaki i żałował, że nie wypił czwartego kubka. Bo też ta woda była smaczna, zimna, z jakimś czerwonym sokiem, pachnąca i taka, że coraz bardziej po tych trzech kubkach pić się chciało. Dał jednak pokój wodzie i do pomarańcz wrócił, chałwy jeszcze dołożył, makagigi poprawił. Teraz dopiero poczuł, że jest zmęczony, senny okropnie, że mu się oczy same do snu kleją. Obok zaś pod tą samą bramą spało sporo jakichś ludzi, którzy w cieniu ochłody szukali. Nie namyślając się długo, Staszek przyłożył głowę do ziemi i w sekundę zasnął.

Śniły mu się rozmaite rzeczy, więc ciotka, szkoła, Zosia, Azor, potem ten szalony lot nad górami, potem jaskółka. Usiadła mu na ramieniu i długo mówiła o nieprzegotowanej wodzie, o tym, że Staszek jest nieposłuszny, bardzo nieposłuszny! Wstyd, aby taki duży chłopiec nie umiał powstrzymać się i zjadł tyle pomarańcz, bananów, daktyli, słodyczy a wszystko popił nieprzegotowaną wodą! Przecież pisała w liście wyraźnie! I tak wiele pieniędzy wydał na niepotrzebne rzeczy! A już największe głupstwo zrobił, kupując fez! Jak się nie wstydzi, on, Polak, paradować w tym fezie! No i te pomarańcze, te banany, ta woda! Osiołek nie zjadł więcej, niż potrzebował, a Staszek... Zaczęła mówić coraz głośniej, coraz wyraźniej, i nagle Staszek posłyszał nad samym uchem jej głos:

— Niech pan uważa na pieniądze! Ukradną panu!

Osiołek ratuje po raz drugi!

Głos był tak mocny i rozkazujący, że Staszek zerwał się na równe nogi. Wieczór zapadał zwolna i na placu koło bramy opustoszało. Chłopiec przetarł oczy i sięgnął ręką do kieszeni do której schował pieniądze, ale kieszeń była pusta. Oprzytomniał i sięgnął ręką po raz drugi, potem zaczął szukać pieniędzy we wszystkich kieszeniach, wywracał je go góry nogami, pieniędzy jednak nie było. Nie został nawet jeden marny miedziak, nie mówiąc o srebrze a tym bardziej o banknotach. Nic, ani grosika! Cóż teraz pocznie?

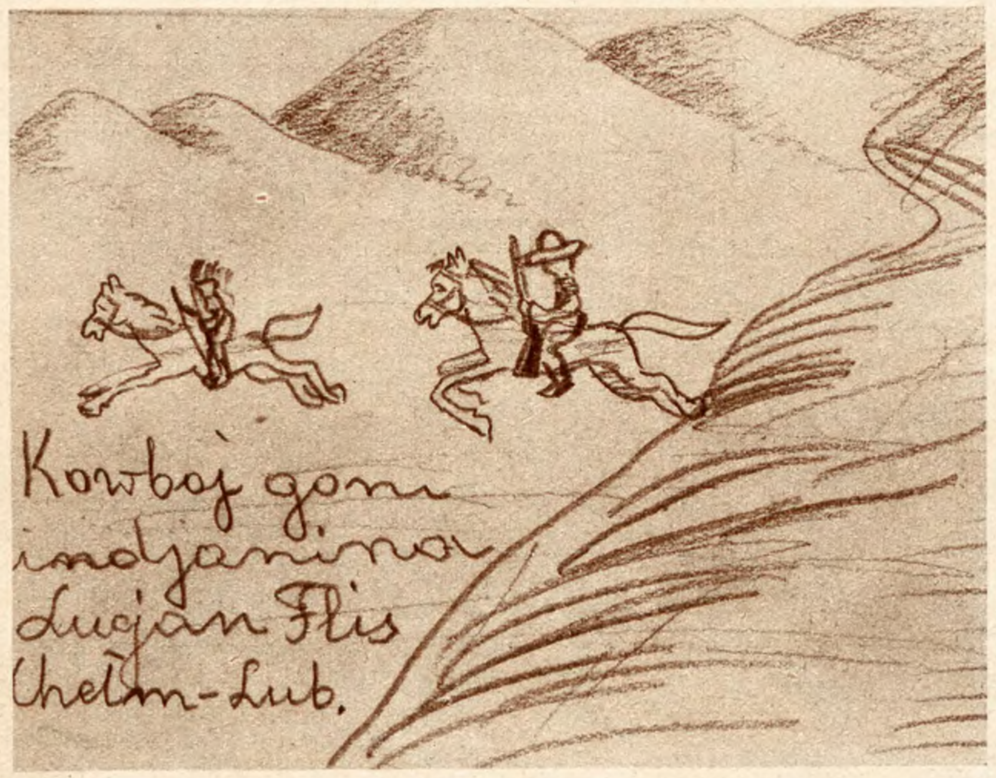


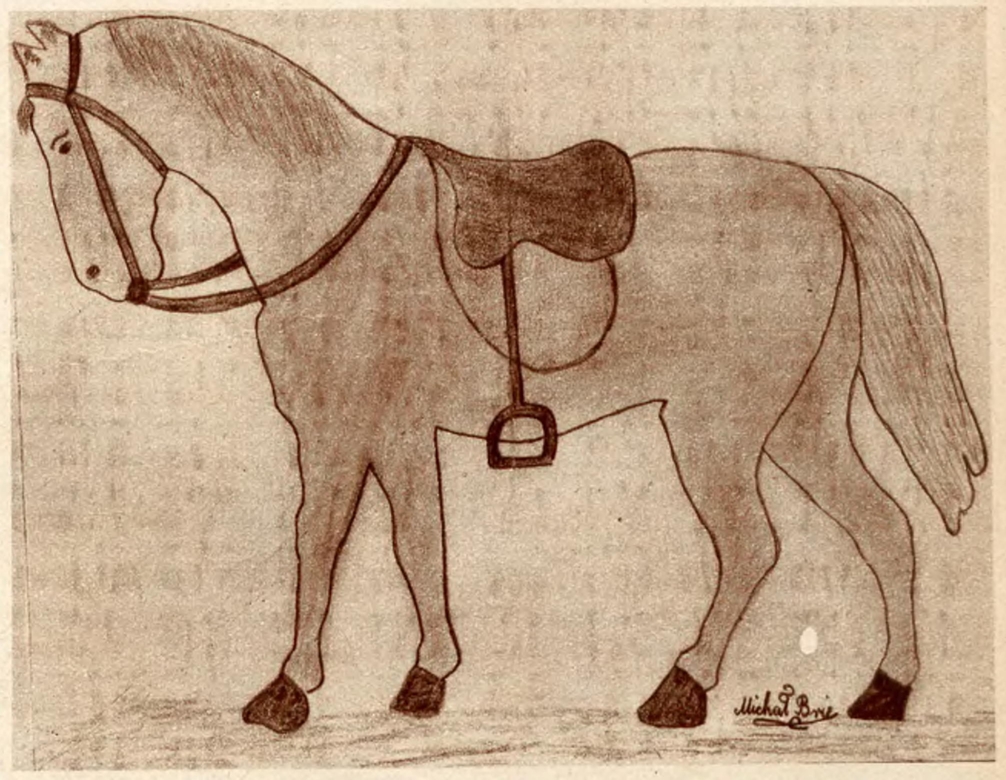
Przez plac przechodził właśnie policjant w zielonym mundurze, w białym hełmie i w krótkich spodniach, które sięgały tylko do kolan. Jakże mu wszystko opowiedzieć? Po jakiemu? A zresztą, gdyby zaczął pytać, Staszek musiałby opowiedzieć szczerze, od początku, i wydałaby się historia ze skradzionym prześcieradłem. Nie, lepiej nie zatrzymywać tego policjanta!

Pieniądze mógł ukraść ten czarny Beduin, który leży o dwa kroki od Staszka i chrapie na cały głos, mógł to zrobić także ten stary Arab w połatanym płaszczu, ale równie dobrze złodziej mógł już dawno uciec. I szukajże go teraz! Za późno! Za późno!

(d. c. n.)

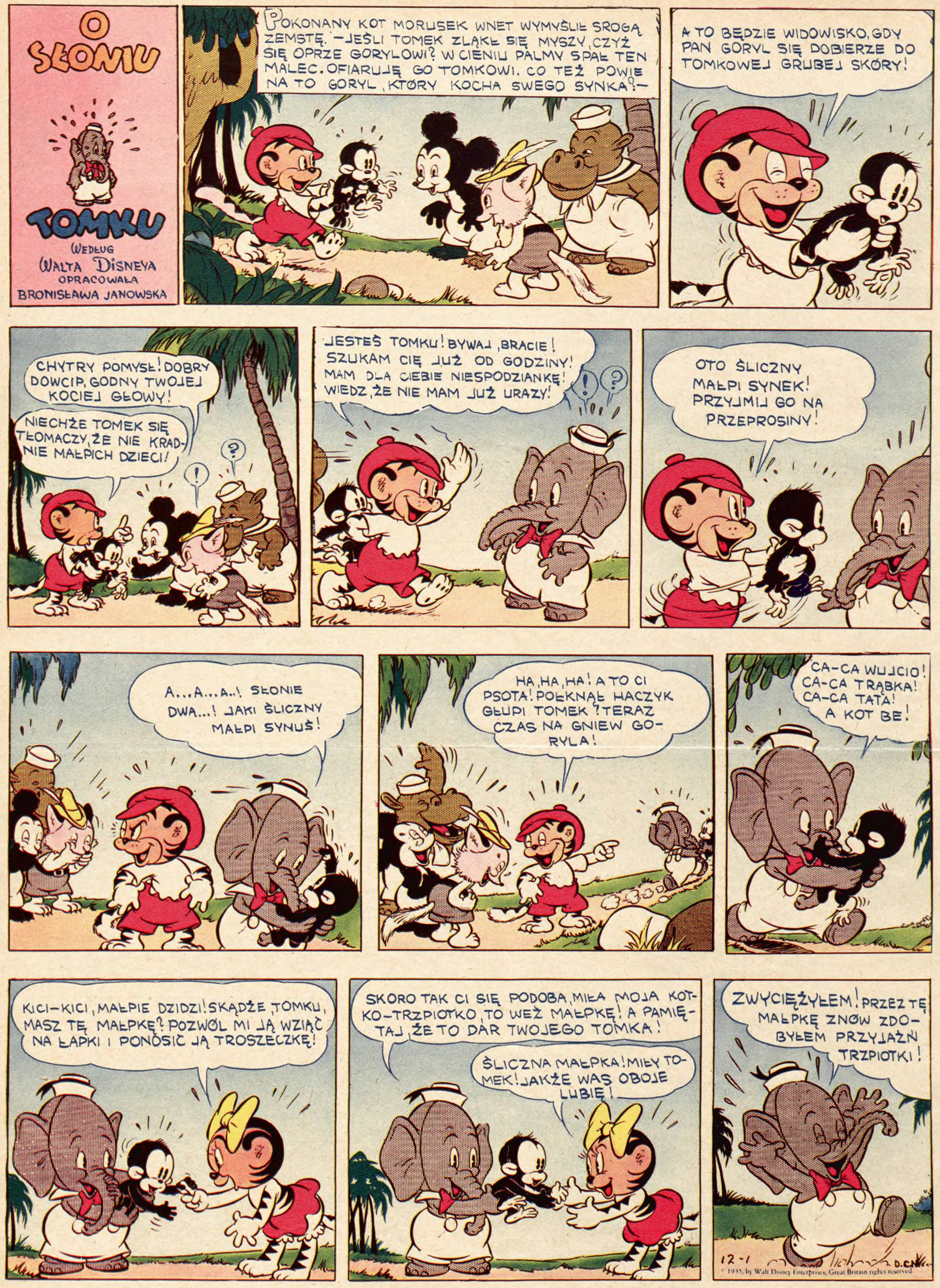
RYSUNKI NASZYCH CZYTELNIKÓW



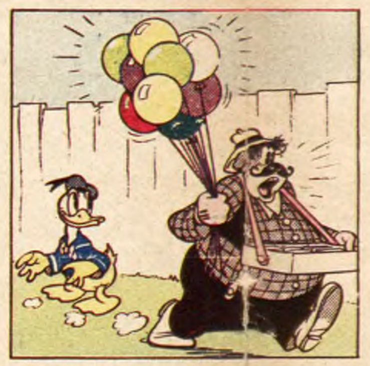


Czy zaprenumerowałeś »Gazetkę Miki«?

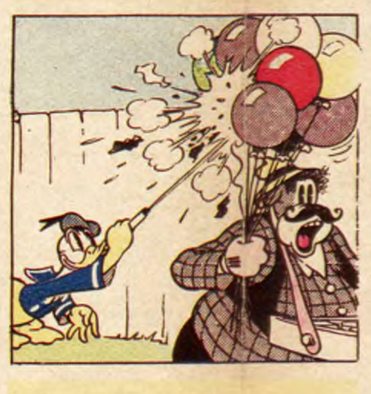




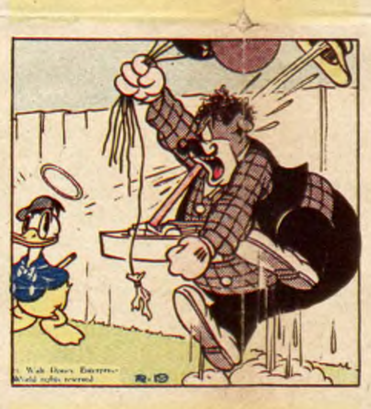
UKARANA PSOTA



— Kwak! Kwak! Piękne baloniki... Nadają się na cel! Hejże! Gdzie moja pukawka?

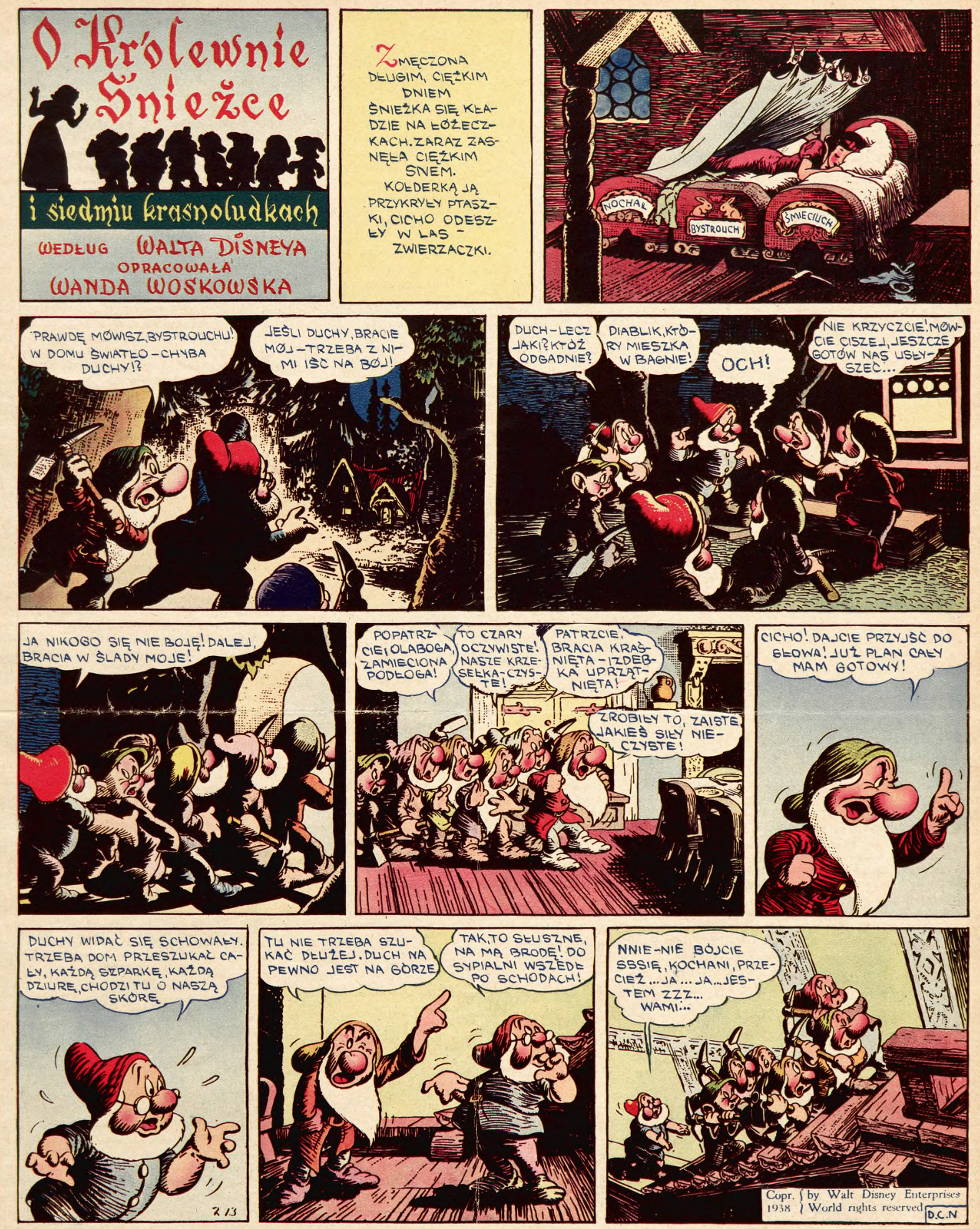


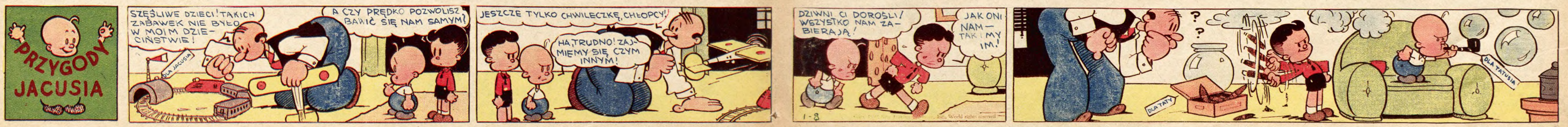
— Pif! Paf! Świetnie! Dzielny ze mnie strzelec, co? Jeszcze raz! Teraz mierzę w zielony. Paf! Jest!



— Ha! Psotniku! Toś ty taki?! Teraz ja sobie postrzelam. Zaraz cię przywiążę do swego towaru. A co, przyjemnie?







CO SIĘ DZIEJE W DOMKU BOBRÓW

według GREY OWL'A — SZAREJ SOWY — opracowała BRONISŁAWA JANOWSKA



Dwa bobry średniej wielkości przychwycone przez obiektyw podczas jednej z rzadkich chwil cichego rozmyślania.

Zwierzęta, które widzicie na fotografii, to bobry. Znacie je może jako piękne i kosztowne futerka na kołnierzach zimowych płaszczyków. Lecz mało kto wie, że te przemiłe zwierzątka zachowują się nieraz jak ludzie. Toteż Indianie nazywają bobry „gadatliwymi braćmi", „bobrzym ludkiem" lub nawet „małymi Indianami".

Jest o tych „gadatliwych braciach" piękna książka pod tytułem: „Sejdżio i jej bobry". Napisał ją największy przyjaciel „bobrzego ludku" — Grey Owl — Szara Sowa. Widzicie tego wspaniałego Indianina na drugiej fotografii? Lecz nie trzeba uczyć się języka Indian, ani nawet angielskiego, żeby poznać radości i kłopoty bobrów. Książkę o małej Indiance Sejdżio i jej bobrach przetłumaczył już na język polski Aleksander Dobrot. W naszej „Gazetce" poznacie tylko niektóre części tej opowieści, a więc posłuchajcie:

Daleko, daleko, za miastami i wioskami, za małymi osadami Kanady Północnej, rozciąga się dziki, prawie nieznany kraj.

Nie ma tam kolei, dróg, domów. Nie ma nawet ścieżek. Pod koniec trzeba by przebyć jeszcze kawał drogi z przewodnikiem Indianinem w małej łódeczce, zwanej kanu. Przedzierając się przez lasy, przepływając rzeki i jeziora — poznalibyście mnóstwo zwierząt. To łosie, jelenie, niedźwiedzie i wilki. Tam właśnie, na dalekiej północy, jest pięknie i dziko. Podobnie jak było w całej Ameryce dawno temu. Tak dawno, kiedy nie było w niej ani jednego białego człowieka. To znaczy przed odkryciem Ameryki przez Kolumba. Na tej dalekiej północy, oprócz niewielu tylko myśliwych i handlarzy skórek, mieszkają najprawdziwsi Indianie. To plemiona ze szczepu Odżibwejów. Indianie ci uważają ten kraj za swą ojczyznę. Nazywają ją Krajem Kii-wejdinu. To znaczy Krainą Wiatru Północno-Zachodniego. Żyją sobie ci Indianie tak jak ich przodkowie sprzed czterystu lat. W wioskach wznoszą się wigwamy. Są to po prostu szałasy z kory, lub płócienne i skórzane namioty. Z dala od kolei, dróg i miast, na leśnych polanach zalanych słońcem. To znów nad piaszczystymi wybrzeżami pięknych jezior.

Nie myślcie jednak, że te wioski leżą sobie w puszczy jedna przy drugiej. Dzieli je bowiem od siebie nieraz sto lub dwieście kilometrów. W maleńkich tych osadach mieszkają Indianie wraz z rodzinami. Każda rodzina zajmuje jedno mieszkanie. Nikt tam też nie próżnuje, bo w puszczy pracy jest bardzo wiele. Nawet młodzież i dzieci biorą udział w pracy dorosłych. Podczas przepraw zimowych młodzież i dzieci dzielnie jeżdżą na nartach. I to nie tylko dla sportu. Trzeba wśród śniegu przecierać drogę saniom. A na saniach tych wędruje cały ruchomy dobytek osady. Mieszkańcy puszczy muszą bowiem często wędrować za zwierzyną. W lecie znów trzeba nieraz całymi dniami wiosłować wraz z dorosłymi, przenosić ciężary. Toteż dzieci Indian mają swoją własną szkołę. Nie uczą się w niej wprawdzie geografii, historii, arytmetyki czy angielskiego. Tych przedmiotów nie nauczy puszcza. Puszcza ma swoje przedmioty szkolne. To życie drzew i roślin, obyczaje zwierząt, sposoby ich tropienia. To niezliczone sposoby łowienia ryb. To umiejętność rozpalania ogniska na deszczu, wietrze, śniegu. Dzieci indiańskie, ci pilni uczniowie puszczy — poznają głosy rozmaitych zwierząt i ptaków. Nie tylko poznają, lecz potrafią je także świetnie naśladować.

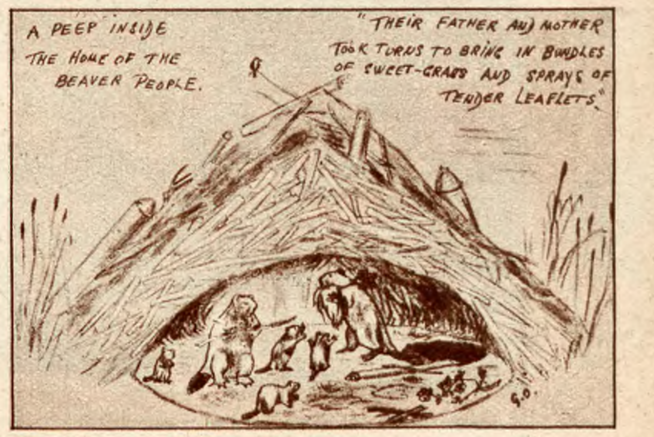


Grey Owl — Szara Sowa.

Cóż więc dziwnego, że potrafią się dogadać z najmądrzejszym mieszkańcem puszczy — z bobrem. Bobry są bowiem tak mądre i pracowite, że nawet myśliwy musi je szanować. Niektórzy Indianie rozumieją pewne »zdania« wypowiadane w bobrzej mowie.

Przenieśmy się więc i my na brzeg małego, głębokiego jeziorka. Po przeciwnej stronie zauważymy grubą, wysoką ścianę z gałęzi i sitowia. Ściana ta zagradza łożysko strumienia. Gałęzie ściany związane są mocno. Szczeliny zapchane mchem, a całość otynkowana mułem. Na wierzchu tej zapory leżą sobie jeszcze ciężkie kamienie. Zapora ma około trzydziestu metrów długości. Woda spływa z góry przez wąskie korytko, wykonane z gałęzi i mułu. Jest to jedyne ujście strumienia. Odpływ więc można sobie dowolnie regulować. Lecz któż to tak pięknie i mądrze obmyślił tę tamkę? Gdzież są ci robotnicy, co ją wznieśli?

Inżynierowie i robotnicy mają cztery łapki, piękne futerko i są po prostu bobrami. Nad jeziorkiem świeci słońce. Nad błękitną wodą, wśród majowych kwiatów i drzew pięknie jest jak w krainie czarów. Nagle na wodzie, tuż przy brzegu, powstaje niewielka zmarszczka. Z głębiny wynurza się brunatny łebek z okrągłymi uszkami. Zwierzątko rozgląda się, nasłuchuje i parska cichutko. Po chwili za głową wydostaje się futerko grzbietu. Teraz płynie bóbr między przybrzeżne sitowie. Trzciny chwieją się przez dłuższą chwilę. Po chwili zwierzątko znów się ukazuje, dźwigając spory pęczek trawy. Płynie teraz w kierunku sporego kopczyka. Kopczyk zbudowany jest z ziemi. Lecz nigdzie nie widać wejścia do tego dziwnego domku. Bóbr razem z wiązką trawy znika nagle pod powierzchnią wody, tuż przy kopczyku. Powędrujmy za nim, choć nie potrafimy tak pięknie nurkować. (d. c. n.)



Wnętrze domku bobrów. Ojciec i matka przynoszą po kolei wiązki słodkiej trawy i delikatnych listeczków.



Dylu, dylu na badylu...



Dylu, dylu, na badylu, nie potrzeba smyczka... Tak mówi piosenka. Tutaj też smyczek nikomu na nic się nie zda. Miś pomrukuje, osiołek porykuje, papuga wrzeszczy, świnka chrząka, a publiczność? — lalki biją brawo i wołają: Bis! Bis!

Kochani Przyjaciele!

Na górze tej strony macie właśnie tę zapowiedzianą w poprzednim numerze niespodziankę. Jak Wam się podobają te przemiłe bobry? Dowiecie się jeszcze o ich losach w następnych numerach. A teraz otwieram posiedzenie naszego klubu. Pierwszy zabierze chyba głos nasz wypróbowany przyjaciel, Jurek Lepecki. Lubi Indian i powieści pełne awantur i przygód, podobnie zresztą jak i B. Flancrajch, i z jego rysunku wynika, że obchodzą go turnieje rycerskie. Romek Dobrodziej przepada znów za krasnoludkami i wobec tego odnajdzie łatwo swoich maciupeńkich ulubieńców na stronie piątej. Andrzej Glass lubi podróżować, a jeśli nawet nie może się w rzeczywistości wybrać w podróż, rysuje sobie pociąg i jazda! Już jest w górach. Prawda, jaki to prosty i praktyczny sposób? Zosi Muszkatblat dziękujemy za ładną fotografię, a Tadziowi Krypińskiemu za wesołe Krakowiaki. Zachwycony też jestem szczerze własnym portretem wykonanym przez Wandzię Borkowską, a choć śnieg za oknami — chętnie wybralibyśmy się wszyscy na przejażdżkę trzema żaglówkami, które nam przysłał Henryk Marconi. Zabierzemy wtedy także Andrzeja Daniszewskiego na tej wspaniałej fregacie (to taki żaglowiec morski). Ale cóż, trzeba będzie zaczekać do wakacji. Obecnie myślimy jeszcze o łyżwach. Dostał je widocznie na gwiazdkę (leżą na rysunku pod choinką) Januszek Krupiński. A teraz podziękujmy jeszcze dzieciom z Warszawy: Julkowi Zandowi i Zenkowi Moskwie za wesołe rysunki, a Romie Krauze i Zbyszkowi Neumanowi za miłe słowa. Jurek Kozłowski przysłał całą paczkę kolorowych obrazków. Nie brak wśród nich nawet rakiety lecącej na księżyc. H. Fürstówna zapytuje dlaczego moja żona ma zawsze kwiatek na głowie. Hm, no, chyba dlatego, że jej w tym kwiatku jest bardzo do twarzy... To był Kraków. Mamy w tym ślicznym mieście jeszcze jedną przyjaciółkę, to Janka Szajerówna. Z Łodzi mamy pozdrowienia od Jurka Goldlusta. Reszcie przyjaciół odpisuję do domu, bo jak zwykle — papier się kończy, więc zamykam posiedzenie i serdecznie Wszystkich pozdrawiam

Wasza Myszka Miki.

GUSTAW MORCINEK

ZA OLZĄ

Często teraz skarżył się na zawroty głowy, na kłucie w piersiach, na kurcze żołądka. Schudł i pożółkł na twarzy, że kiedy go spotkał stary Konderla, nie mógł go poznać.

— Nale, synku, co się z tobą stało? — zawołał zdumiony. A potem dodał: — Lecz nie martw się!... Zdaje się, że już nam niedługo czekać na tę chwilę...

— Naprawdę? — ożywił się Karol.

— Spytaj się pana Kobielę! — i wskazał na swego towarzysza. Był to młody człowiek ubrany z pańska, o rysach typowego górnika, o szarych, mądrych, ciepłych oczach. Bogacz teraz dopiero zwrócił na niego uwagę.

— Dzień dobry! — rzekł tylko.

— To pan Kobiela... wiesz, z polskiego konsulatu w Morawskiej Ostrawie!... Nasz człowiek! — objaśnił jeszcze Konderla. — Ten, co prowadzi kółko samokształcenia.

Karol Bogacz jeszcze tego samego dnia poszedł do polskiej szkoły przy kościele na zebranie Kółka Samokształcenia. Zastał tam mnóstwo młodzieży górniczej, dziewczyny, chłopców i starszych górników. Wszyscy siedzieli w ciasnych ławach i słuchali referatu jakiegoś młodego pana w harcerskim mundurze.

— Kto to jest? — zapytał sąsiada.

— Przecież chyba wiesz, bo pan Kobiela go przedstawiał.

— Spóźniłem się, a on już mówił...

— No, to jest Witold Reger, harcmistrz z Cieszyna...

— Aha!... To jest syn tego byłego posła Regera?

— Ten...

Karol Bogacz z miejsca wyczuł zaufanie do niego. Słyszał bowiem nieraz w kopalni podczas »mądrowania« przed kołowrotem, że poseł Reger był wybitnym działaczem polskim na Śląsku, że walczył wraz z księdzem Londzinem o chleb i o szkołę dla polskiego górnika... A to jest jego syn?... No, to dobrze!...

Przyglądał mu się ciekawie. Oto stoi za stołem smukły harcerz w okularach, o śniadej, podłużnej twarzy, może nieładny lecz jakiś ogromnie miły. Tłumaczy zebranej młodzieży, co to jest harcerstwo, jakie są jego cele, jak ono pracuje w Polsce... Długo mówił, spokojnie, mądrze. Czasem się zapalał, a wtedy nachylał się za stołem do słuchaczów i wyciągał do nich dłonie. Potem znowu przechodził w spokojne opowiadanie. Wszyscy słuchali z zainteresowaniem, starsi cmokali z uznaniem, kiwali głowami, a młodzieży gorzały oczy...

— ...a harcerstwo polskie na Śląsku za Olzą ma krzewić tę wiarę w wyzwolenie naszego Śląska za Olzą! — zakończył mocno, a pan Kobiela oglądał się, czy nie widzi gdzie ukrytego szpiega, zebrani zaś klaskali i radowali się tamtymi słowami, jak głodny chlebem.

Karol Bogacz myślał i myślał, potem przecisnął się do Regera i powiedział z miejsca:

— Proszę pana, ja bym chciał być takim harcerzem!...

I to było wszystko.

Teraz od tygodnia znajduje się między śląskimi harcerzami w obozie nad Olzą w Bystrzycy i wciąż jeszcze nie może pojąć, co się z nim stało. Zapomniał o swojej krzywdzie wyniesionej z kopalni, zapomniał o nienawiści do Czechów, a na cały świat patrzy z dziwnym wewnętrznym uśmiechem, gdyż teraz już chyba najmocniej wierzy, że rychło doczeka się wyzwolenia Śląska za Olzą. Oto Olza płynie po dolinie, jak śpiewają tamte dziewczyny na drugim brzegu, a on patrzy w jej wodę i dziwi się wszystkiemu. Jaki ten świat jednak jest piękny! O Boże, jaki piękny!... Doliną płynie Olza, a po obu jej stronach wynoszą się pod błękit Beskidy Śląskie. Jak to powiedział druh harcmistrz Reger? Że są stworzone z uśmiechu Boga!... O tak, z uśmiechu Boga są stworzone. Kiedy bowiem patrzy na nie, kiedy błądzi oczami po ich łagodnych graniach, ucisza się w nim wszystko i tak mu, jak wtedy gdy wrócił do domu po pierwszej spowiedzi świętej!...

Patrzy teraz na ciemny Stożek, patrzy na łagodną Kozubową i słucha szklanego szmeru Olzy, cieknącej po szarych kamieniach u jego stóp. A tamte dziewczyny wciąż śpiewają... Co to śpiewają? »Myśmy przyszłością narodu...« Tak, myśmy przyszłością narodu!...

Wstał, rozciągnął ramiona w uniesieniu, a wtedy doznał wrażenia, że wyrastają mu skrzydła u ramion. Po raz pierwszy w życiu przeżywa tak dziwną chwilę. Jak ona ogromnie odległa od tamtej chwili, kiedy nauczycielowi Svetsce powiedział, że jest Czechem!... Jak bardzo odległa!...

— ...i ja jestem przyszłością narodu! — pomyślał z ulgą i spojrzał na Olzę. I znowu pomyślał, że ta jego Olza, najpiękniejsza rzeka na świecie, już nie będzie kiedyś granicą, że stanie się tą samą polską rzeką, co taka Wisła... Że polscy ułani będą w niej kiedyś poili swoje konie...

Rozległa się trąbka w obozie.

Karol Bogacz spojrzał z wdzięcznością na rzekę i pobiegł za głosem trąbki.

KSIĘŻYC NAD JAWOROWYM

Nad Jaworowym stał księżyc. Taki wykrojony, rudy księżyc. Niewiele było z niego pociechy, lecz tym lepiej dla Karlika Bogacza i jego towarzyszy. Położyli się w przydrożnym rowie, pod gęstymi krzakami i czekali.

Kontur Jaworowego odrzynał się ostro od granatowego nieba. Z Goduli błyskało drobne światełko. Może to oświetlone okno w schronisku, a może ognisko turystów. A może też widomy znak czuwania czeskiego. Reszta Beskidów tonęła w mroku, rozpływała się gdzieś nad Jabłonkowem w mglisty majak, a potem



znów biegła łagodną, wynoszącą się linią po graniczny Stożek. Za Stożkiem już jest Polska...

Karol Bogacz patrzał na jego szczyt. Wyobrażał sobie swoją radość, jaką by przeżywał, gdyby spoza Stożka wynurzyły się linie polskich żołnierzy w bojowych hełmach, z karabinami w dłoniach, z bagnetami na karabinach. Nie dojrzałby ich stąd, lecz sercem wyczułby ich zbliżanie się. Tak mu się zdawało.

Olza cieknie pobok drogi. Jeżeli się lekko wychylić z rowu, można dostrzec na jej wodzie rozsypany księżyc z nad Jaworowego. Woda znowu szepleni i bulgoce, jak ongiś, przed kilku miesiącami.

Na Goduli wciąż błyska drobne światełko. W Goduli śpi ogromny wąż Złotogłowiec. Na głowie ma złotą koronę. Teraz się zwinął w kłębek i drzemie. Jeżeli trafić na odpowiednią godzinę i jeżeli trafić w zagubione uroczysko leśne, a gwizdnąć trzy razy, przeciągle, wąż Złotogłowiec wypełznie z Goduli i zejdzie w dolinę. Wtedy wszystko się przemieni... Chodzi tylko o to, kiedy należałoby gwizdnąć, w której godzinie i w którym uroczysku beskidzkim.

Karol Bogacz przysłuchiwał się w milczeniu, gdy druh Witek opowiadał dziś wieczorem o wężu Złotogłowcu.

— Idziemy go dzisiaj budzić! — powiedział w żarcie na zakończenie, a teraz Karolowi Bogaczowi wydaje się, że to nie był żart. Nie, to nie był żart. Bo oto wystarczy sięgnąć dłonią do bioder, by wymacać chłodne, karbowane kształty granatów ręcznych. Granaty są nieduże, podobne do sporych jej, zawieszone na pasku. Pasek ściska brzuch i uwiera biodra.

(d. c. n.)

ZAGADKI·FIGLIKI·WYMYŚLIŁ·SAM·MIKI

REBUS 1



SZARADA

Pierwsza w literach czterech
zawiera liter szereg.
Ze wszystkich książek
na świecie całym
zmieści litery
ten wyraz mały.
Druga — powierzchni miara
skromniejsza od hektara.
Trzecią łatwo znajdziecie
na końcu w alfabecie.
Całość człowieka oznacza,
piękna jest jego praca.

ZAGADKA 1

Zęby ma za narzędzie
piłuje drzewa wszędzie,
a łzy mu kapią po brodzie,
że musi mieszkać w wodzie.

UKŁADANKA

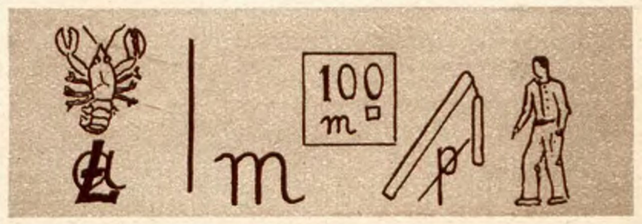
A	A	L
K	S	S
O	O	O

Litery w kratkach ustawić tak, aby czytając poziomo otrzymać kolejno: część twarzy, przyprawę, imię żeńskie, a pionowo otrzymać z obu stron zewnętrznych tego samego owada.

ZAGADKA 2

Nos ma garbaty,
łeb rosochaty,
a rogi na łbie
jak łopaty.

REBUS 2—3



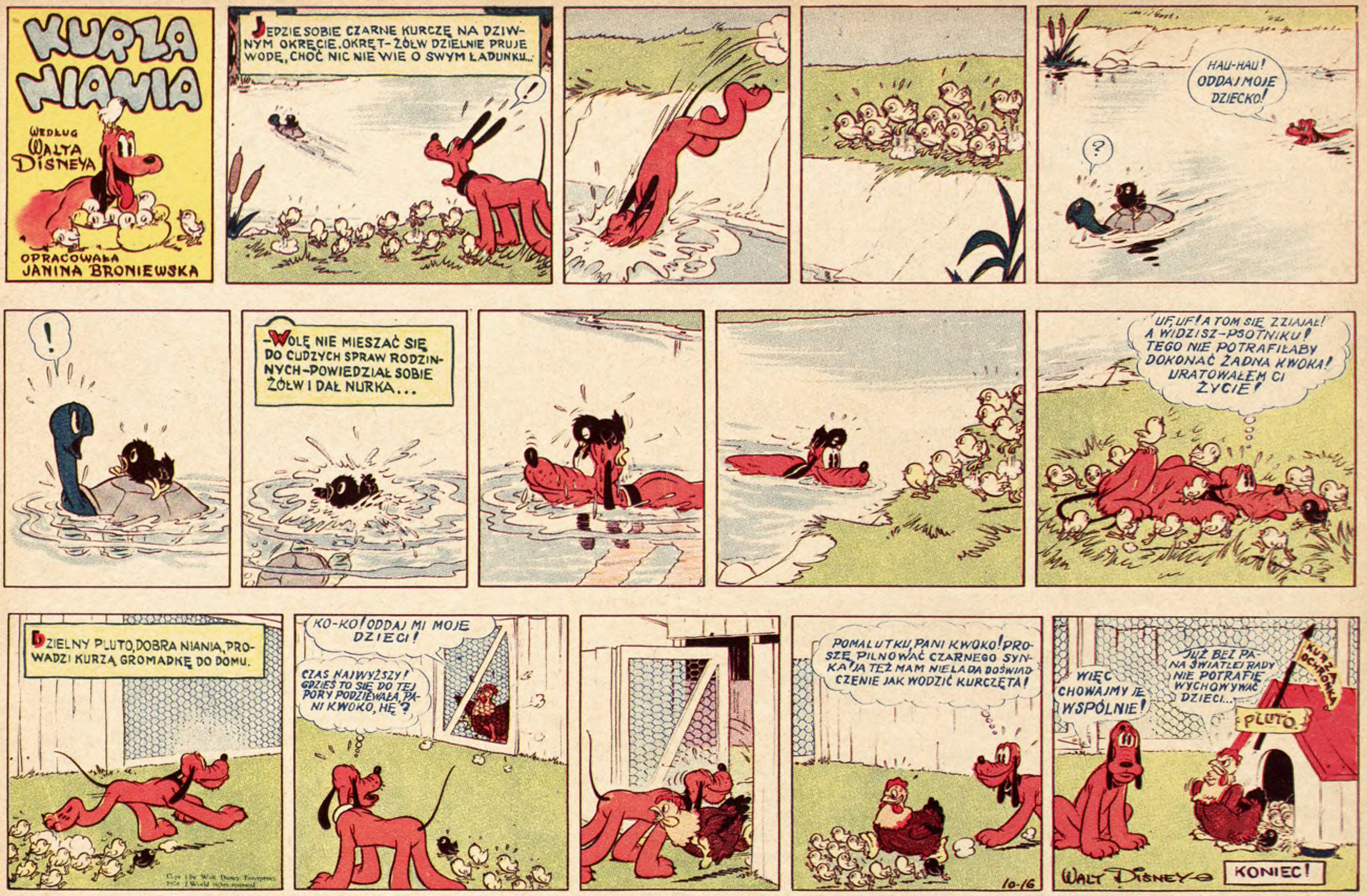
ZAGADKA 3

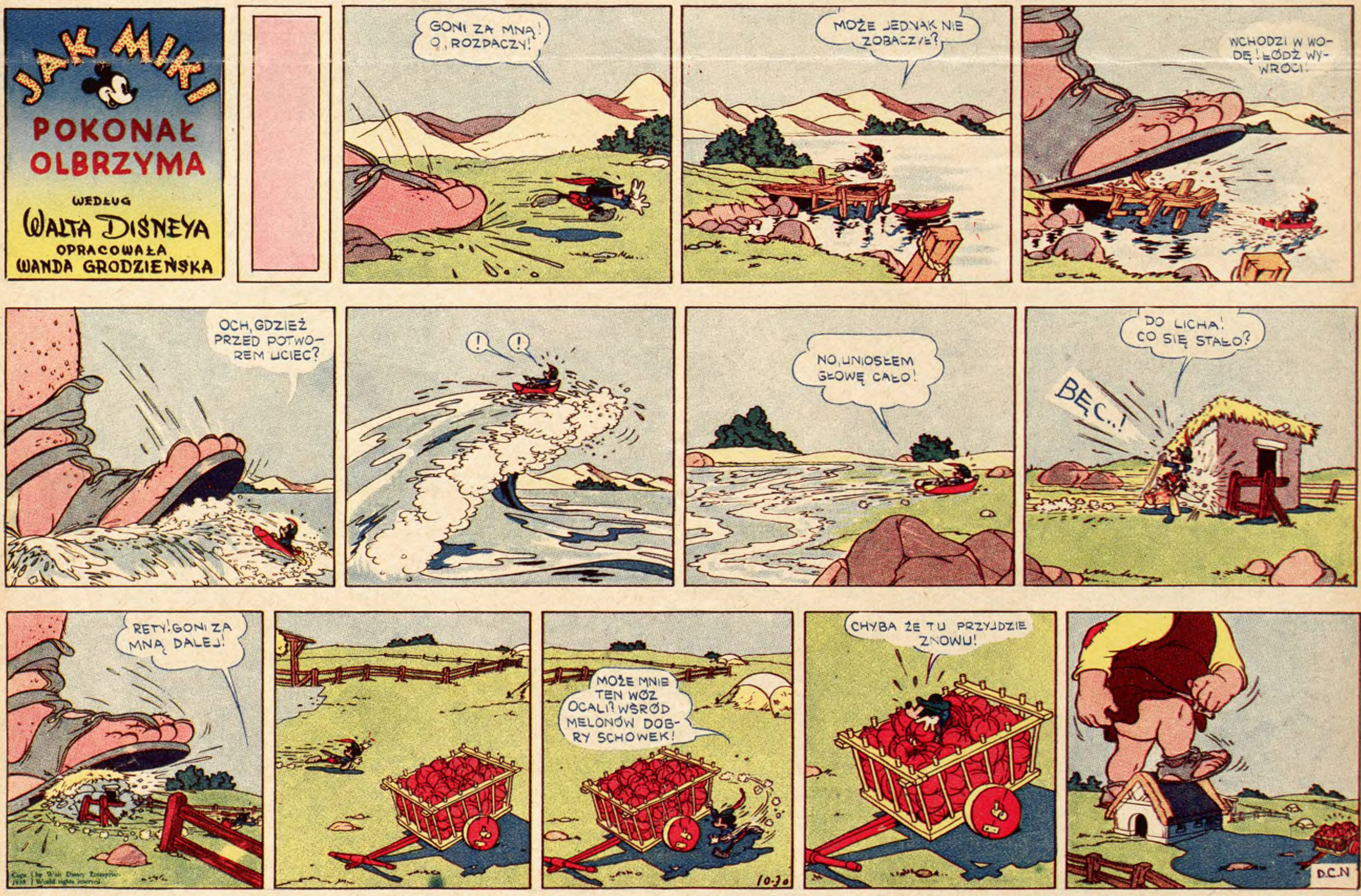
Siedzę smutna nad miedzą,
mam usta, a mnie jedzą.

ROZWIĄZANIE Z N-RU 9

Łamigłówka: P, buk, sosna, olszyna, leszczyna, kasztan, zagajnik, dębina, choinka, gaj, żołądź, kłoda, jawor, lis, len, osa, oko, las — Puszcza Białowieska

Zagadki: 1. dzik, 2. gęś, 3. kolej. **Rebusy:** 1. wojenna marynarka, 2. kolej wąskotorowa.





Wydawca: Wydawnictwo »Gazetka Miki« — Sp. z o. o. Redakcja i administracja: Warszawa, Jasna 18/20 m. 17. Tel. 529-64. Konto P. K. O.: 3666. Konto rozrachunkowe 368.
Redaktor: Aleksandra Bończa-Waśniewska. Redakcja czynna codziennie od g. 12—13. Administracja czynna od 10—19. Przekaz rozrachunkowy 368.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 1·50 zł wraz z przesyłką, cena pojed. numeru 40 gr. — Do nabycia w księgarniach i w kioskach »Ruchu«. — Drukarnia Narodowa w Krakowie.